

Marek Zagajewski

DEMOKRACJA BEZ LUDU¹

Zdrowie demokracji, każdego typu i każdego stopnia, zależy od jednego drobnego szczegółu technicznego, a mianowicie: procedury wyborczej. Cała reszta, to sprawy drugorzędne. Jeśli system wyborów działa skutecznie, jeśli dostosowuje się do wymogów rzeczywistości, to wszystko jest w porządku, natomiast jeśli tego nie robi, to demokracja zaczyna się walić, chociażby cała reszta działała bez zarzutu.

José Ortega y Gasset²

Ziarna protestu

Sejm został zdobyty przez lud, tym razem Palikotowy, który wywalczył swoją dziesiątinę władzy. Co prawda 40 posłów, w tym 23 raczej mniejszych niż większych przedsiębiorców, nie stanowi zbyt wielkiej siły, ale stanowi znakomity punkt startu. Nie oznacza to rzecz jasna końca walki o władzę, ale na początek uchwycenie przez Ruch Palikota solidnego przyczółka. Pojawienie się w Sejmie ekipy „sztukmistrza z Lublina”, złożonej na dodatek w większości z głęboko wierzących katolików i jej niewątpliwy sukces wyborczy wywołał całkowicie zrozumiałe powszechne oburzenie rodzimych elit, skoro przedustanowiony porządek polityczny takiego tworu nie przewidywał. Tymczasem Janusz Palikot, korzystając z nowoczesnych środków komunikacji interpersonalnej, praktycznie w ciągu roku *ex nihilo* w internecie powołał do życia społeczny ruch o ambicjach politycznych w proteście przeciwko zaprzeczającej swemu mianu demokracji parlamentarnej *made in Poland*.

O tym, że dla Ruchu Palikota najważniejsza jest realna władza pokazuje chociażby świadoma rezygnacja z walki o Senat, sławetną izbę „zadumy” i miejsce dwuznacznych rozgrywek i legislacyjnych kombinacji rządowych. A że sprawa jest poważna zdaje się świadczyć natychmiastowe pojawienie się na „scenie politycznej”, nieznanego bliżej z lewicowych poglądów Aleksandra Kwaśniewskiego, w znanej od wielu lat roli zarządcy lewicowej przestrzeni publicznej.

Ruch Palikota przedstawia sobą szereg atrakcji jako mieszczański, raczej w wersji drobnej, ruch protestu społecznego o charakterze liberalnym, czego istniejące dotąd w naszym kraju partie polityczne nie są w stanie zapewnić. W tym sensie jest to wyrosły ze swego rodzaju wewnątrz systemowego buntu reformistyczny ruch oparty na akceptacji gospodarki kapitalistycznej i demokracji parlamentarnej, z których należy usunąć „wypaczenia” i nadać im cywilizowany charakter.

Zebrani w wypełnionym po brzegi klubie Reduta Banku Polskiego na Bielanach w Warszawie zwolennicy Palikota po ogłoszeniu prognozowanych tuż po zakończeniu wyborów znakomitego dla nich wstępnego wyniku z entuzjazmem powtarzali za swoim przywódcą rotę przysięgi: „My, ludzie Ruchu Palikota, zobowiązujemy się być wierni idei nowoczesnego państwa, państwa świeckiego, społecznego, obywatelskiego i przyjaznego. Tej nadziei nie zawiedziemy”. Można się domyślać, że

1 Źródło: „Zdanie”, Pismo Stowarzyszenia «Kuźnica», nr 3-4 (150-151), 2011 r., ss. 19-29.

2 J. Ortega y Gasset, *Bunt mas i inne pisma socjologiczne*, przeł. P. Niklewicz i H. Woźniakowski, Warszawa 1982, s. 192.

uczestnicy tego wydarzenia poczuli na sali powiew wolności i świeżości. Ważne i ciekawe będzie przełożenie tych ogólnych haseł na konkretne reformy naszego systemu politycznego, który w tej postaci jest nie do utrzymania jeśli zważyć, jak ograniczona jest identyfikacja Polaków z państwem. Mimo upływu ponad dwudziestu lat od pierwszych półdemokratycznych wyborów i wprowadzenia wielu zmian, dla bardzo wielu obywateli bojkot wyborczy jest jedyną formą wyrażania stosunku do polityki. Bez demokratyzacji naszego parlamentaryzmu nie jest możliwy rozwój społeczeństwa obywatelskiego, którego stan znajduje się obecnie w dolnej strefie stanów niskich.

W tym kontekście przypomina się stara uwaga młodego Marksa z *Manifestu Partii Komunistycznej*, który nader stanowczo zarzucał ówczesnym „prawdziwym” socjalistom niemieckim uprawianie przez nich krytyki liberalnego ruchu politycznego zamiast wspólnej walki przeciw feudalom i absolutnej władzy monarszej o „nowoczesne społeczeństwo burżuazyjne”. Należy wyjaśnić, że terminu „kapitalizm” Marks nie używał także wtedy, kiedy on już się upowszechnił, posługując się przywołaną formułą „nowoczesnego społeczeństwa burżuazyjnego”. Późniejszy autor *Kapitału* uważał za głęboko niesłuszne rzucenie przez socjalistów „tradycyjnej klątwy na liberalizm, na państwo parlamentarne, na burżuazyjną konkurencję, burżuazyjną wolność prasy, burżuazyjne prawo, burżuazyjną wolność i równość”³.

Jak widać, Marks terminy „liberalny” i „burżuazyjny” używał zamiennie i z sympatią opowiadając się jednoznacznie za poparciem burżuazyjnego ruchu protestu, którego sukcesy mogły jedynie przynieść korzyści „masom ludowym”. Jako najbliższe zadanie rewolucyjnych przemian w ówczesnych Niemczech połowy XIX wieku widział on ukształtowanie „nowoczesnego społeczeństwa burżuazyjnego”, w którym występują stosunkowo wysokie materialne warunki życiowe i liberalna konstytucja polityczna. Dalszy bieg zdarzeń wykazał, że ruch liberalny bez socjalistów radzi sobie zupełnie nieźle, odwrotnie do ruchu socjalistycznego, który odrzucając liberalny punkt odniesienia wpadał zwykle w pułapkę sławetnych „błędów i wypaczeń” kończąc wykołajaniem na manowcach procesu historycznego. Polska po dziesięcioleciach panowania kapitalizmu państwowego, pod szyldem PRL, w warunkach państwa wyjątkowego zdaje się mieć przed sobą, z zachowaniem wszelkich proporcji, podobne zadania wymagające połączenia liberalnych i lewicowych ruchów protestu społecznego. Wiąże się z tym pewne ryzyko, bowiem jeśli tylko liberałom udawało się przetrwać owo spotkanie, co nie zawsze się udawało, to w dalszej kolejności mieli wielkie szanse na całkowite wchłonięcie ruchu socjalistycznego w swoje szeregi.

Wracając do Palikota należy podkreślić, że podstawę swej działalności politycznej upatrywał on w ruchach protestu społecznego. W tej kwestii ważnym punktem odniesienia stało się dla niego emocjonalnie rozbudzone „pokolenie JPII”, które z religijnym zapałem młodości artykułowało, także w sporze z hierarchicznym układem wspólnoty katolików, antyinstytucjonalny i antyklerykalny rys poglądów i działań Karola Wojtyły w połączeniu z protestem wobec niesprawiedliwości współczesnego świata. Efektem tego spotkania było powołanie przez Palikota w kwietniu 2005 roku, pod wpływem dominikanina o. Macieja Zięby i Romana Kluski, konserwatywno-katolicko-liberalnego tygodnika „Ozon”, który jednak zakończył swój burzliwy żywot już w lipcu 2006, gdy systematyczny spadek sprzedaży doprowadził głównego właściciela do utraty blisko 20 mln zł. W morzu powstałych problemów kluczowymi okazały się jednak brak czytelnika, który wyszedł na jaw, gdy ostatecznie okazało się, że „pokolenie JPII” jest zręcznie medialnie skonstruowaną efemerydą, oraz niełatwy styk świata mediów z wpływami biskupów i Opus Dei.

3 K. Marks i F. Engels, *Manifest Partii Komunistycznej*, MED, t. 4, wyd. drugie poprawione, Warszawa 1986, ss. 673-674.

Po tych doświadczeniach i kilku latach działalności parlamentarnej Palikot zwrócił się w stronę świeckich ruchów protestu w bliskich mu sferach edukacji, kultury i obyczajowości, które w naturalny sposób łączyły się z kwestiami deklerykalizacji życia społecznego. W ramach realizacji programu szeroko pojętych wolności i praw obywatelskich ruchy protestu toczyły swe boje w kwestiach legalizacji związków partnerskich, liberalizacji ustawy aborcyjnej, refundowania zabiegów in vitro czy legalizacji marihuany. Na tym tle rodzi się konkretny program kształtowania świeckiego państwa, który jak na XXI w. trudno uznać za radykalny także dlatego, że dotyczy znajdującego się w środku Europy kraju.

Kiedy w lubelskiej izbie zatrzymań sierżant policji dwukrotnie zgwałcił nietrzeźwą studentkę, a jego koledzy i przełożeni stanęli w obronie podejrzanego, Palikot ostro zareagował przeciwko łamaniu prawa i sprawiedliwości. Minęły już cztery lata od jego słynnej konferencji prasowej, na której z silikonowym penisem w rozmiarze XL w jednej dłoni i pistoletem w drugiej protestował przeciwko nadużyciom władzy przez funkcjonariuszy policji.

Wedle Palikota i jego zwolenników niezbędne są radykalne zmiany, aby doprowadzić do uformowania praworządnego i sprawiedliwego państwa, które jest możliwe tylko w świeckim kształcie. W tym celu konieczne jest ograniczenie nie tylko przywilejów Kościoła katolickiego, ale także biurokracji we wszelkich postaciach, którą starał się okiełznać, zresztą z marnym skutkiem, kierując pracami sejmowej Komisji Nadzwyczajnej Przyjazne Państwo. Dominującą siłą napędową politycznej aktywności buntownika Palikota zdaje się być jednak głównie duch anarchii o naturalnie antyinstytucjonalnym charakterze wyrażający się w ostrej krytyce politycznych wpływów Kościoła, opresyjnego charakteru państwa i zachowań jego funkcjonariuszy oraz antyobywatelskiego restrykcyjnego ustawodawstwa, zwłaszcza w sferze gospodarki. Po niepowodzeniach w realizacji reformatorskich zapędów poprzez medialny nacisk czy poselskie działania z legitymacją partii rządzącej w garści Palikot doszedł do słusznego wniosku, że jedyna droga do „naprawy państwa” wiedzie przez zbudowanie szerokiego wolnościowego ruchu protestu społecznego i wdarcie się na jego barkach na parlamentarne salony.

Protest ulicy

Od rozpoczęcia okupacji Puerto del Sol 15 maja, obok protestu społecznego praktykowanego z zachowaniem demokratycznych procedur, pojawił się radykalny ruch spontanicznego protestu placów i ulic. Ten pokojowy ruch na terenie wolnej przestrzeni publicznej nie posiadając wyraźnych struktur instytucjonalnych, ani też uprawomocnionego przywództwa stara się działać w ramach obowiązującego prawa. Tym samym powstała sytuacja polityczna zarysowała opozycję między protestem demokratycznego salonu a protestem zrewoltowanej ulicy, chociaż obydwie jej człony mają komplementarny wobec siebie charakter.

Okupacja Wall Street zaczęła się 17 września od demonstracji zorganizowanej przez kanadyjski dwumiesięcznik „AdBusters” o profilu antykapitalistycznym i alterglobalistycznym o nakładzie 120 tys. egzemplarzy, od demonstracji przeciwko biedzie, bezrobociu, bezdomności, zadłużeniu, kolosalnemu rozwarstwieniu społecznemu i niebywale wysokim zarobkom bankierów sprawców kryzysu oraz władzy korporacji i najbogatszych.

Protestujący określają się jako ruch 99 procent zwykłych Amerykanów wykorzystywanych przez 1 procent bogaczy. „Nie jestem w 1 procencie, nie stać mnie na lobbystę!”, – to jedno z najczęstszych haseł demonstrantów. Okazało się, że jeden procent Amerykanów posiada 40 procent

majątku, gdy 99 procent ludności ma w swym władaniu pozostałe 60 procent. W latach 2002-2007 dochody jednego procenta najbogatszych rosły średnio o 10 procent rocznie, gdy dochody reszty 99 procent o 1,3 procent rocznie. Tę ponurą statystykę zamyka informacja, że 400 najbogatszych Amerykanów według „Forbesa”, posiada więcej majątku niż 200 milionów Amerykanów (60 procent ludności).

Według bardziej precyzyjnych obliczeń socjologa Williama Domhoffa, który zbadał statystyki majątku finansowego (wartość majątku netto każdego obywatela minus wartość nieruchomości), jeden procent najbogatszych Amerykanów posiada 42 procent majątku (przed 25 laty jeden procent posiadał 33 procent), gdy najbiedniejsze 80 procent ludności ma tylko siedem procent majątku.

Na gorszą niż w republikach bananowych redystrybucję bogactwa w Stanach Zjednoczonych wskazuje kolejne zestawienie, według którego średnie dochody jednego procenta najbogatszych gospodarstw wzrosły w latach 1979-2007 czterokrotnie (z pół miliona do prawie dwóch milionów), gdy dochody górnych 20 procent niewiele wzrosły, a pozostałych rodzin prawie się nie zmieniły.

Kolejne dane wskazują, że górny jeden procent ma do spłaty zaledwie pięć procent całego długu, a dolne 90 procent ludności jest obciążone aż 73 procentami. I kolejna, ważna dla sytuacji życiowej Amerykanów, przeprowadzona przez Institute for Policy Studies, analiza stanu posiadania papierów wartościowych, akcji, obligacji i jednostek uczestnictwa w funduszach powierniczych – 50,9 procent ma w rękę jeden procent najbogatszych, a biedniejsza połowa ludności zaledwie pół procenta wszystkich walorów.

I na koniec warto spojrzeć na ciekawą statystykę zarobków. Na przykład, gdy w 1980 roku prezes jednego z największych amerykańskich przedsiębiorstw zarabiał średnio czterdzieści dwa razy tyle co przeciętny pracownik, to w 2001 roku jego zarobek wzrósł pięćset trzydzieści jeden razy. Takie były efekty polityki płacowej, wedle której w latach 1980-2001 cztery piąte wszystkich podwyżek dotyczyło najbogatszego jednego procenta.

Przytoczone statystyki ukazują mnogość znaczeń i punktów odniesienia, które ufundowały nowe zupełnie kategorie służące do opisu amerykańskiego społeczeństwa o olbrzymim ładunku emocjonalnym i politycznym. Nie powinno dziwić, że demonstrantów na Wall Street poparli między innymi oryginalny myśliciel marksowskiej proweniencji, Sławoj Żiżek, sławny reżyser, Michel Moore i wybitna aktorka Susan Sarandon, z której ust przy tej okazji padła wypowiedź o USA, że „między bogatymi a biednymi w tym kraju jest przepaść”. Rzuciła także pod adresem bankierów sarkastyczną opinię: „Gdybym ja w swojej firmie popełniała takie błędy i niszczyła ludziom przyszłość, raczej nie dostałabym premii”.

Joseph Stiglitz, laureat Nagrody Nobla z ekonomii (2001), przyznając rację demonstrantom krytykującym bezrobocie i bezdomność stwierdził, że w obecnym systemie „nie zdołamy zbudować sprawiedliwego społeczeństwa”, ponieważ „uspołeczniiliśmy straty i sprywatyzowaliśmy zyski.” Jego zdaniem, „to nie jest kapitalizm, to nie jest gospodarka wolnorynkowa, lecz wypaczona ekonomia”.

Demonstrantów odwiedził także Jeffrey Sachs z Uniwersytetu Columbia, były doradca polskiego rządu w okresie transformacji, który w swoim wystąpieniu nawiązał do ich głównych haseł mówiąc, że w procesie globalizacji „garstka ludzi na szczycie piramidy robi majątek, podczas gdy bardzo wielu ludzi nie znajduje żadnego oparcia w nowej światowej gospodarce”. Przypomniał, że dzieje się dokładnie na odwrót niż domaga się większość Amerykanów, którzy słusznie powiedzieli: „opodatkujcie bogatych, skończcie wojny, wzmocnijcie zabezpieczenia socjalne”.

Ikona alterglobalizmu, kanadyjska aktywistka Naomi Klein przestrzegająca demonstrantów przed zakusami jednego procenta bogaczy, którzy dążą do prywatyzacji edukacji, obciążenia usług publicznych

i pozbycia się ostatnich barier dla władzy korporacji. Jej zdaniem nie ma już bogatych państw, a jest jedynie wielu bogatych ludzi, którzy wzbogacili się rabując majątek publiczny i eksploatując zasoby naturalne na całym świecie. System wyrwał się spod kontroli i stał się głęboko niesprawiedliwy.

Decydujące wsparcie otrzymali okupujący ze strony związków zawodowych, które do nich dołączyły po zorganizowaniu własnych marszów, w reakcji na rozbięcie zgromadzenia przez policję, gdy 2 października demonstrujący ruszyli przez Most Brooklyński w proteście przeciwko nadużywaniu wobec nich przemocy i brutalnym aresztowaniom.

Przestało już dziwić kogokolwiek, że prezydent Obama, lider wiodącej w skali światowej gospodarki wolnorynkowej, przedstawia w Kongresie starannie opracowany konkretny program walki z bezrobociem. Oto kilka cytatów z gazety demonstrantów: „Albo jesteś buntownikiem, albo niewolnikiem”, „Nie musimy akceptować świata narzuconego nam przez banki, polityków i policję”. „Jeśli nie pozbędziesz się 1 procenta, oni zabiją ciebie. Więc albo powstaniesz i zmienisz korporacyjne państwo w świat zdrowy psychicznie, albo poprowadzą cię za kark do destrukcji”.

Na ulotkach można przeczytać: „Chcemy ekonomicznej i społecznej sprawiedliwości, dlatego protestujemy w imieniu praw 99 procent – dopominamy się o nasze najbardziej podstawowe prawa obywatelskie”. Jeden z aktywistów ruchu wyraził szokującą opinię: „Musimy rozpocząć jakiś antykapitalistyczny projekt, jak spółdzielnie, związki zawodowe, partycypacyjne budżety miejskie, coś, do czego Ameryka nie jest przyzwyczajona: demokrację”. Chodzi tu zatem także o demokratyzację systemu wyborczego przez zmianę sposobu finansowania i prowadzenia kampanii wyborczych w taki sposób, aby przełamać monopole politycznych elit oligarchicznych i zwiększenie udziału zwykłych Amerykanów w sprawowaniu władzy na funkcjach wybieralnych zwłaszcza w Kongresie federalnym i jego stanowych odpowiednikach.

Najdalej idącym postulatem jest żądanie przebudowy systemu politycznego poprzez rozwinięcie demokracji bezpośredniej i jej otwarcie na obywatelskie inicjatywy i liderów lokalnych grup aktywności społecznej. Tego rodzaju postulaty wypływają z radykalnej krytyki demokracji przedstawicielskiej, gdyż „zablokowała” reprezentatywność władz, które przestają odpowiadać oczekiwaniom rządzonych, ponieważ rządy zostały zdominowane przez partiokrację i podporządkowane „rynkom”.

Niemalą wypowiedzi okupujących ukazuje zróżnicowany charakter protestu od krytyki rozlicznych wad kapitalizmu, mniejszego czy zasadniczego kalibru, po radykalne odrzucenie kapitalistycznego systemu bez wyraźnego artykułowania rewolucyjnego charakteru żądanych przemian. Ten proces kształtowania świadomości zbuntowanych Amerykanów ma ciągły charakter i daleki jest od wyczerpania swej dynamiki.

Ten skrótowy opis amerykańskiej rewolty, która rozlała się po całym kraju, nie może abstrahować od wcześniejszej okupacji Puerto del Sol, która na głównym placu Madrytu toczy się z przerwami od 15 maja. Stamtąd pochodzi dziewięciopunktowy Manifest Ruchu 15 Maja, który zamyka rewolucyjne wezwanie: „Potrzebna jest Rewolucja Etyczna. Uznaliśmy kapitał za wartość nadrzędną nad ludzkim życiem. Czas wreszcie, aby to kapitał służył ludziom. Jesteśmy ludźmi, nie towarami. Nasze życie to nie tylko to, co kupujemy, dlaczego kupujemy i od kogo kupujemy. W związku z wszystkim powyżej, jestem oburzony. Jestem przekonany, że mogę to zmienić. Jestem przekonany, że mogę pomóc. Wiem, że razem możemy. Chodź z nami. To Twoje prawo”. Stąd pochodzi nazwa Ruchu Oburzonych i Marszu Oburzonych, który dociera 15 października między innymi do Brukseli i Warszawy.

W ten sposób doszło do powołania w Polsce Porozumienia 15 października z inicjatywy

uczniów Wielokulturowego Liceum Humanistycznego w Warszawie jako wyraz solidarności z ruchem „oburzonych” w Hiszpanii. Warszawscy licealiści zorganizowali tego dnia stosunkowo skromny marsz w stolicy. Wcześniej, po szerokich konsultacjach środowisko oburzonych sformułowało listę 21 postulatów jako rozwinięcie madryckiego manifestu pod kątem polskich warunków – w celu przedstawienia ich naszym władzom. W marszu brało udział środowisko „Krytyki Politycznej”, przedstawiciele OPZZ oraz obserwatorzy z Ruchu Palikota i SLD.

Godne odnotowania jest to, że przygotowania do warszawskiego Marszu Oburzonych toczyły się równoległe z naszą kampanią wyborczą do Parlamentu, co oznaczało zdecydowany dystans animatorów Porozumienia 15 października wobec demokratycznych procedur. Od tej kwestii zaczyna się ważki komentarz na ich stronie internetowej: „Za nami kolejne wybory. Chyba większość z nas nie ma złudzeń, że przyniosą one jakieś gruntowne zmiany”. Ich zdaniem, „demokratycznie” wybrani politycy tak samo jak przez ostatnie 20 lat nie będą realizowali wyborczej obietnicy „stworzenia raj w Polsce” i trzeba im powiedzieć *dość*, jak w hiszpańskim haśle *basta*. Nie chcą też polityków mówiących o Polsce jako o „zielonej wyspie” skoro brakuje miejsc pracy, a ludzie zarabiają coraz mniej i na gorszych warunkach.

„Nie chcemy kolejnych polityków mówiących, że zależy im na rozwoju społeczeństwa, bo widzimy, że oni naszemu społeczeństwu ograniczają prawo do bezpłatnych studiów, powszechnej, bezpłatnej opieki zdrowotnej. Bo widzimy, jak kolejne rządy prywatyzują kolejne zakłady, podnoszą podatki. Zbyt długo im wierzyliśmy, że chcą zmieniać rzeczywistość. Teraz jesteśmy oburzeni. Bo wiemy, że każde rządy nie słuchają głosu społeczeństwa, że działają na naszą niekorzyść. Jesteśmy oburzeni kłamstwami i ignorancją płynącą z parlamentu. Jesteśmy oburzeni obecną sytuacją w Polsce. Potrafimy obejść się bez polityków, bo to nie my potrzebujemy ich do życia, lecz oni nas. Oburzajmy się”. Ten tekst jest wyrazem ważnego stanowiska w kwestii stosunku Ruchu Oburzonych do demokracji parlamentarnej. Zwraca uwagę odejście jego autorów od często niezwykle radykalnej jej krytyki i głoszenie jawnego bojkotu polityki, polityków oraz demokratycznych instytucji i procedur. Powstaje tutaj swoista konstrukcja ideologiczna streszczająca się w odrzuceniu gospodarki kapitalistycznej i demokracji parlamentarnej, przy równoczesnym formułowaniu pod adresem państwa społecznych, a zwłaszcza politycznych postulatów.

Dotyczy to także haseł, takich jak na przykład „Kapitalizm, to się leczy” czy „Nie płacimy za wasz kryzys”. Skoro oburzeni zamierzają pozbyć się polityków, to będą zmuszeni sami ich zastąpić bądź też zachowają status ruchu politycznego protestu, który wypracuje mechanizmy egzekwowania od swoich apolitycznych urzędników zatrudnionych w sferze państwowych instytucji, poprzez swego rodzaju „akcje bezpośrednie”, realizację swoich żądań i wizji ładu społecznego. Demokratyzacja demokracji ma szansę stać się kluczowym polem politycznych działań nowych ruchów protestu. Innymi słowy: „Nie protestujesz, nie istniejesz”. „Protestuję, więc jestem”. Takie czasy.

Ordynacja proporcjonalna?

Doceniając w pełni wagę opinii Ortegi y Gasseta w kwestii znaczenia procedury wyborczej w demokracji, należy krytycznie przyrzeć się osobliwościom jej funkcjonowania, co ułatwia zrozumienie naglącej potrzeby zmiany ordynacji wyborczej artykułowanej już blisko dwadzieścia lat przez Ruch Obywatelski na rzecz Jednomandatowych Okręgów Wyborczych. W tym celu warto zobaczyć, jak działa w praktyce konstytucyjnie obowiązująca w naszym kraju w wyborach do Sejmu ordynacja proporcjonalna i odsłonić zawarty w niej immanentnie mechanizm dyskryminacji małych partii

politycznych i premiowania dużych.

W ostatnich wyborach otrzymane przez Ruch Palikota w zaokrągleniu około dziesięciu procent głosów wyborców dało 40 posłów, przy automatycznej stracie 6 mandatów (wedle reguły proporcjonalności winno być 46 posłów). Podobnie zostały potraktowane PSL, otrzymując 28, i SLD 27 mandatów za nieco ponad osiem procent głosów, chociaż proporcjonalnie powinny mieć po 37 posłów (strata w sumie 19 mandatów).

Tymczasem Platforma Obywatelska ze swoimi prawie czterdziestu procentami zdobytych głosów zdobyła aż 207 mandatów, uzyskując premię w postaci 23 posłów, chociaż wedle znanej proporcji należało się jej jedynie 184 foteli sejmowych. Skorzystało też Prawo i Sprawiedliwość uzyskując z około trzydziestoma procentami oddanych głosów 157 mandatów zamiast proporcjonalnie należnych 138, inkasując zarazem premię w wysokości 19 miejsc w ławach poselskich. Ten „fundusz premiowy” powstał oczywiście z głosów zabranych w trakcie stosownych przeliczeń z kont małych partii – Ruchu Palikota, PSL, SLD oraz przegranych komitetów wyborczych, które zgrabnie zasiliły zasoby kadrowe swoich przeciwników ulokowanych na pozycjach sejmowych rekinów. Dysydencką partię Polska Jest Najważniejsza, los w postaci ordynacji potraktował ze szczególną złośliwością, ponieważ osiągnięty wynik poniżej progu wyborczego spowodował automatyczne przeniesienie zdobytych przez nią 315 393 głosów (ponad 2 proc.) do spółki PO z pochopnie porzuconą macierzystą PiS jako mniejszym udziałowcem.

Okazało się zatem, że wbrew pozorom ordynacja proporcjonalna ma wewnątrz sprzeczny charakter, ponieważ oparta jest w widoczny sposób na zasadzie dysproporcjonalności. Brak adekwatnej proporcjonalności czy reprezentatywności w sensie odpowiedniej liczby oddanych głosów wyborców do uzyskanych mandatów stanowi nieusuwalną wadę ordynacji proporcjonalnej. Demokracja ma na to tylko jeden dobry sposób – jednomandatowe okręgi wyborcze, gdzie zwycięzca bierze wszystko, ale tylko tak długo, dopóki dysponuje poparciem obywateli, które jak wiadomo „na pstrym koniu jeździ”.

Hybryda demokracji

Dnia 9 października 2011 roku po raz pierwszy w naszym kraju odbyły się wybory do Senatu według większościowej ordynacji w okręgach jednomandatowych, przy zachowaniu w wyborach do Sejmu biegunowo przeciwstawnej ordynacji proporcjonalnej. Brak zgodności między tymi ordynacjami wyborczymi dobrze odzwierciedla sprzeczności naszej demokracji parlamentarnej. To oznacza, że jeśli nic się nie zmieni, to przez najbliższe lata polskie społeczeństwo będzie z konieczności pod rządami hybrydowej demokracji.

Wprowadzenie większościowej ordynacji w wyborach do Senatu zostało wymuszone przez postępujący kryzys demokracji w Polsce. Równocześnie często umyka z pola widzenia, że działający od 1993 roku Ruch Obywatelski na rzecz Jednomandatowych Okręgów Wyborczych zorganizował szereg protestów społecznych przeciwko ordynacji proporcjonalnej, domagając się konsekwentnie wprowadzenia jednomandatowych okręgów wyborczych w wyborach do Sejmu, a nie Senatu czy samorządów terytorialnych.

Wolno zatem twierdzić, że po zastosowaniu w latach ubiegłych większościowej ordynacji w wyborach do części władz samorządowych nasze elity władzy zdecydowały się na jej wprowadzenie w wyborach do Senatu zamiast do Sejmu. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że ten klasyczny unik zastosowano w pełni świadomie, aby nie tylko zyskać na czasie, ale także poprzez poddanie wyborów w okręgach jednomandatowych swoistemu testowi na drugorzędny w hierarchii władzy państwowej

senackim polu, by umożliwić jej przeciwnikom kompromitację większościowej procedury wyborczej.

Pierwsze komentarze wskazują, że operacja przebiegła nadzwyczaj pomyślnie, ponieważ partie polityczne odniosły druzgocące zwycięstwo nad tzw. niezależnymi kandydatami, którzy w zamierzeniach reformatorów mieli nader skutecznie z nimi konkurować. Ale jednak partyjni kandydaci na senatorów z dużych partii (PO i PiS), poza nielicznymi wyjątkami odnieśli druzgocące zwycięstwo, znacznie większe niż w Sejmie. Taki wynik zdecydowanie poprawił samopoczucie naszych elit władzy, które opuściło zagrożenie związane z wprowadzeniem ordynacji większościowej w wyborach do Senatu, a w przyszłości zapewne i do Sejmu.

Tymczasem powstała ciekawa sytuacja, ponieważ pomyślny wynik testu nie doprowadził jak na razie do zastosowania jego rezultatów. Politycy oraz ich komentatorzy w konkluzjach oceny wyborów nawet nie wspominają o potrzebie wprowadzenia jednomandatowych okręgów wyborczych, chociaż dla dużych partii, jak należy sądzić, jest ona niezwykle korzystna. Nie pada nawet standardowe pytanie: „Gdzie jest Stokłosa?”, którym przeciwnicy większościowej ordynacji straszili jako swoistym *memento* zapewniając, że właśnie takich kandydatów – lokalnych, łamiących prawo, skorumpowanych biznesmenów – preferuje ta procedura wyborcza. A tu cisza, warto spróbować to wyjaśnić.

Casus Stokłosa

Zgodny chór polityków, politologów i żurnalistów latami starał się wmówić ludziom dobrej woli, że wybierany w trybie większościowym Senat tylko dziwnym zrzędzeniem losu nie składał się z samych „Stokłosów”, chociaż senackie okręgi wyborcze były w tym czasie dwu- i więcej mandatowe i z tak licznym gronem wyborców, że łączenie ich z większościową ordynacją było wręcz absurdalne. Natomiast wybory do Sejmu wedle tej ordynacji już na pewno musiałyby przebiegać wyłącznie wedle zarysowanego scenariusza. Ta ogłupiająca nagonka zakończyła się gwałtownie opublikowaniem 24 sierpnia 2011 r. oświadczenia senatora: „Nie startuję w wyborach, etap polityki w moim życiu mam już za sobą”.

Po raz ostatni nasilenie „antystokłosowej” kampanii medialnej wiązało się z udziałem naszego bohatera w wyborach uzupełniających do Senatu 6 lutego 2011 r. w piłskim okręgu, kiedy mimo ciężących na nim, ale bez prawomocnych wyroków 21 prokuratorskich zarzutów dotyczących w większości przestępczości gospodarczej, w tym także korumpowania urzędników w Ministerstwie Finansów i sędzię Sądu Administracyjnego, oraz bezprawnego więzienia i bicia swoich pracowników, zdobył mandat senatora. Dało mu to sposobność do „chowania się” za tym mandatem, z czego wedle oficjalnych komunikatów korzystał stosunkowo często utrudniając prowadzenie procesu sądowego. Podobnie postępował, ścigany za przestępstwa gospodarcze senator Aleksander Gawronik, uchylając się od 1993 roku przed wymiarem sprawiedliwości do roku 1997, kiedy przegrał kolejne wybory. Zdumiewa, że zaledwie dwa przykłady senatorów mających w różnych zakresach i odmiennych okolicznościach problemy z przestrzeganiem prawa, miałyby w sposób niepodważalny dowodzić, że w przyszłości ordynacja większościowa ułatwi dostanie się do Sejmu ludziom bogatym, a na dodatek nieuczciwym, przy równoczesnym przemilczaniu podpadających pod tę charakterystykę dziesiątków posłów i posłanek.

Należy przypomnieć, że wybory uzupełniające mają z reguły bardzo niską frekwencję – tym razem 6,31 proc. obywateli uprawnionych do głosowania. Na Stokłosę głosowało 15 tys. wyborców, czyli dwa razy więcej niż liczy cała załoga jego firm mieszczących się na obszarze okręgu wyborczego. Prezes Stokłosa jak wielu innych żądał od swoich pracowników by na niego głosowali, ponieważ „daje

pracę”. W jego pakiecie wyborczym znalazło się 1,5 mln złotych rocznie na cztery miejscowe kluby: dwa siatkarskie, koszykarski i żużlowy (Drawa z Krzyża Wielkopolskiego, Radwan Lubasz, MKS z Czarnkowa i Speedway Polonia Piła), a także mniejsze kwoty na kolonie dla biednych dzieci, żywność dla domów dziecka, hospicjów i najuboższych rodzin oraz na kilkaset wyprawek dla pierwszoklasistów. Łączny koszt „kiełbasy wyborczej” został oszacowany na ponad 2 mln złotych rocznie, a jej „skonsumowanie” zależało od wyboru prezesa.

Ostatecznie zakończenie kadencji i przejście Stokłosa na polityczną emeryturę oznacza formalne uchylenie jego wyborczych zobowiązań, ale należy przypomnieć, że jako kandydat niezależny wielokrotnie zdobywał mandat senatora (lata: 1989, 1991, 1993, 1997 i 2001) przegrywając wybory dopiero w roku 2005.

W kampanii wyborczej zderzyły się zatem obietnice wyborcze Stokłosa ze stawianymi mu przez przedstawicieli PO, SLD i PSL oraz media zarzutami kryminalnymi, a mimo to Stokłosa jako niezależny kandydat zwyciężył. Odrzucenie przez wyborców partyjnych kandydatów, w tym partii rządzących było zatem swego rodzaju protestem obywateli, którzy zostali zmuszeni do szukania pomocy u niezależnego kandydata na senatora. Konkluzje zatem nie są jednoznaczne, bowiem wbrew reżimowej propagandzie przypadek Stokłosa może świadczyć pośrednio zarówno za, jak i przeciw wprowadzeniu ordynacji większościowej w wyborach do Sejmu. Jednak systematyczne wykorzystywanie biografii politycznej Stokłosa jako argumentu na rzecz tezy, że procedury wyborcze oparte na jednomandatowych okręgach wyborczych stanowią zagrożenie dla demokracji jest prymitywnym nadużyciem. Na dodatek w 2005 roku przegrał on senackie współzawodnictwo, a w 2007 roku w ogóle nie wziął w nim udziału. Na tym zapewne nie koniec nieuczciwych polemik i sporów.

Senat 2011 a procedury wyborcze

Wbrew wielu nadziejom i oczekiwaniom, że wybory do Senatu według ordynacji większościowej umożliwią wprowadzenie do parlamentu wielu niezwiązanych z partiami „niezależnych” polityków zakończyły się niezwykłym „upartyjnieniem” izby wyższej. PO posiada 63 senatorów, PiS – 31 i PSL – dwóch, a zaledwie czterech jest „niezależnych”. Nie ulega wątpliwości, że o wyniku wyborów zdecydował partyjny sztyl, chociaż popularność kandydata wśród mieszkańców okręgu wyborczego, jego osobowość, wizerunek, opinia wyborców, a także ocena poglądów i dotychczasowej działalności politycznej miały określone znaczenie. Jednak mechanizm wyborczy o większościowym charakterze w jednomandatowych okręgach wyborczych, jak żadna inna procedura wyborcza, umożliwia głosowanie raczej na ludzi niż na partyjne sztyldy, bez zaznaczenia, a więc i faworyzowania czy wykluczania partyjności kandydatów. Nie są to zatem wybory bezpartyjnych kandydatów, ani też nie powinny one mieć antypartyjnego charakteru, natomiast procedury wyborcze związane z zastosowaniem jednomandatowych okręgów mają stwarzać najlepsze warunki, aby wyborca mógł w największym stopniu skoncentrować swoją uwagę na osobowych walorach kandydata i na tej podstawie podjąć trafną decyzję.

Niestety zastosowana u nas ordynacja większościowa w jednomandatowych okręgach wyborczych w wyborach do Senatu RP dowodzi, że we wszystkich zasadniczych punktach jest ona całkowicie sprzeczna ze spotykanymi w światowym życiu politycznym regulacjami prawnymi i praktykami wyborczymi np. w szczególności w Wielkiej Brytanii, Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Wbrew oczekiwaniom nasze wybory do Senatu miały z definicji partyjny charakter, ponieważ

kandydaci występowali w barwach na przykład partyjnego Komitetu Wyborczego Platforma Obywatelska RP, chociaż mogli też kandydować pod bezpartyjną nazwą na przykład Komitet Wyborczy Wyborców Marka Borowskiego, KW Wyborców Wspólnoty Samorządowej Dolina Sanu czy KW Wyborców Bezpartyjni.pl, nie mylić z KW Wyborców Bezpartyjni do Senatu.

W krajach o utrwalonej tradycji demokratycznej, w jednomandatowych okręgach wyborczych, chociaż kampanie często mają partyjny charakter, na oficjalnych plakatach i kartach do głosowania nie podaje się partyjnej przynależności kandydata – ta strona jego politycznego wizerunku nie musi być tak silnie eksponowana jak to ma miejsce w naszych warunkach. Oczywiście, że praktycznie wielu mieszkańców okręgu wie, do jakiej partii należy kandydat, czy jest bezpartyjny, ale wyborcy łatwiej się od tej wiedzy dystansować. Kolejna kwestia wiąże się z naszą specyfiką narodową i dotyczy około dwudziestu osób bezpartyjnych kandydujących z partyjnego komitetu wyborczego bądź jako „niezależni” kandydaci na senatora, posiadających partyjną rekomendację, a w przypadku Marka Borowskiego nawet równoczesne poparcie PO i SLD. Jak zatem widać, kampania wyborcza do Senatu także toczy się wedle ustawy i praktycznie wokół partii i „partyjności”. W tym kontekście należy odnotować, że aż w trzydziestu trzech okręgach wyborczych do Senatu nie został zgłoszony kandydat z własnego komitetu wyborczego, co zdaje się gwarantować jego „niezależność”.

Kolejna kwestia dotyczy korzystania z biernego prawa wyborczego, zgodnie z którym zgłoszenie kandydatury do Senatu mogło się odbywać wyłącznie za pośrednictwem liczącego piętnaście osób komitetu wyborczego z listą 2 tys. podpisów osób udzielających poparcia kandydatowi. Można tę procedurę ocenić jako prawny mechanizm ograniczający bierne prawo wyborcze. W klasycznej tradycji demokratycznej kandydat zgłasza się sam przynosząc listę 10-15 podpisów rekomendujących go osób i wpłaca kaucję (w Wielkiej Brytanii 500 funtów a w Kanadzie 1 tys. kanadyjskich dolarów), która przepada, jeśli kandydat nie uzyska na przykład trzech procent głosów. W ten sposób praktycznie każdy obywatel ma tam realny dostęp do indywidualnego kandydowania, o jakim nasz obywatel może co najwyżej pomarzyć. Ale i tak mimo wszystkie ułatwienia nie kandyduje tam w jednomandatowych okręgach średnio więcej niż pięć osób, podobnie jak u nas w wyborach wójtów, burmistrzów i prezydentów miast.

Niezwykle poważnym problemem jest wielkość okręgów wyborczych, na co z reguły nie zwraca się w dyskusjach uwagi, chociaż wydaje się zrozumiałe, że aby kandydat był dobrze znany w swoim okręgu, nie może być on zbyt licznie zamieszkały. W Wielkiej Brytanii utarło się, że jednomandatowy okręg wyborczy obejmuje 60-80 tys. mieszkańców, co umożliwia w dłuższym okresie bezpośredni kontakt kandydata, a później polityka nie tylko z każdym własnym wyborcą, ale wręcz z każdym obywatelem ze swojego terenu. Tymczasem w ostatnich wyborach do Senatu te zasady zostały całkowicie odrzucone – senatorom przypisano okręgi liczące od ponad dwustu tys. do ponad pięciuset tys. osób uprawnionych do głosowania. W tych warunkach jedynie szyld partyjny lub inny o podobnym charakterze znak firmowy jako swego rodzaju identyfikator umożliwia rozpoznanie kandydata, który ma nikłe szanse na rzetelny osobisty kontakt z wyborcą. Tego typu regulacja prawna zdaje się, podobnie jak poprzednia dotycząca trybu zgłaszania kandydatur, podpadać pod zarzut *de facto* ograniczania biernego prawa wyborczego.

To z konieczności skrótowe porównanie naszych regulacji prawnych procedury wyborczej w wyborach do Senatu z regułami funkcjonowania mechanizmów wyborczych w krajach rozwiniętej demokracji dowodzi, że uznawanie naszych wyborów do Senatu jako zgodnych z ordynacją właściwą dla jednomandatowych okręgów wyborczych jest całkowicie nieuprawnione. Równie dobrze można określić wybory prezydenta naszego państwa jako odbywające się w trybie jednomandatowych

okręgów wyborczych i byłoby to tak samo prawdziwe jak traktowanie wyborów do Senatu jako zgodnych z procedurami jednomandatowych okręgów wyborczych. Krytyka procedury wyborów senatorów w jednomandatowych okręgach wyborczych jest zatem nieuzasadniona, bezzasadna i bezpodstawna, ponieważ takowe w naszym prawie wyborczym istnieją tylko z nazwy. A to trzeba ocenić jako swego rodzaju manipulację odsuwającą kolejny raz obywateli od bezpośredniego udziału w demokratycznych mechanizmach sprawowania władzy. Jak widać, przynajmniej dla części naszych elit politycznych demokracja bez ludu jest stosunkowo łatwym do urzeczywistnienia ideałem sprawowania władzy.

Ordynacja większościowa a proporcjonalna

Demokracja obywatelska polega na swobodnym wyborze przez społeczeństwo swoich władz publicznych. W tym celu społeczeństwo obywatelskie posługuje się ordynacją wyborczą zapewniającą wolne wybory swoich przedstawicieli do parlamentu. Wolność wyborów do najwyższego organu władzy państwowej daje się opisać przy pomocy zasady „każdy wybiera każdego”, ponieważ każdy obywatel może wybrać każdego obywatela, który zdecyduje się kandydować, z uwzględnieniem pewnych ograniczeń formalnych takich jak okręg wyborczy, wiek czy niekaralność. Wolne wybory zapewnia większościowa ordynacja wyborcza, która umożliwia wyłonienie w jednomandatowych okręgach wyborczych, o stosunkowo niewielkiej liczbie mieszkańców, dobrze znanych wyborcom swoich przedstawicieli spośród kandydatów zgłaszanych praktycznie bez ograniczeń przez obywateli, organizacje społeczne czy partie polityczne.

Ten skrótowy opis oparty jest na brytyjskim systemie wyborczym nazywanym First-Past-The-Post („pierwszy na mecie”), wedle którego do Izby Gmin kandydować może każdy obywatel, którego zgłoszenie poprze swoimi podpisami dziesięciu wyborców z jego okręgu liczącego zwykle około 80 tys. uprawnionych do głosowania. Ponadto kandydat wpłaca 500 funtów kaucji, które zostaną mu zwrócone po uzyskaniu nie mniej niż 3 proc. głosów. Wygrywa ten kandydat, który otrzymał najwięcej głosów (nie ma drugiej tury), karty liczone w aulach, halach i salach gimnastycznych z udziałem widzów i mediów – jako wyniki wyborów ogłaszane są zwykle po kilku godzinach. Jeśli nie ma konieczności powołania rządu koalicyjnego, jak zdarzyło się ostatnio po raz pierwszy od niepamiętnych czasów w Zjednoczonym Królestwie, noc wyborcza kończy się ogłoszeniem składu nowego rządu i tradycyjną wizytą przyszłego premiera u królowej brytyjskiej. Nietrudno zauważyć, że ten klasyczny system ordynacji większościowej nie występuje w naszym kraju w żadnej postaci, nie jest znany nawet w szczątkowej formie.

Proporcjonalna ordynacja w wielomandatowych okręgach wyborczych jest przeciwstawna wolnym wyborom większościowym w jednomandatowych okręgach wyborczych. Mechanizm funkcjonowania proporcjonalnej ordynacji wyborczej daje się zawrzeć w formule „niewielu wybiera nielicznych, spośród już wybranych”, ponieważ niezbyt wielu wyborców głosuje na kandydatów już wybranych przez partyjną kastę przywódczą i „odgórnie” umieszczonych na listach ich komitetów wyborczych w porządku hierarchicznym.

W tej kwestii „The Economist” w lipcu 1988 roku pomieścił esej Karla R. Poppera, w którym krytycznie ocenił system wyborczy reprezentacji proporcjonalnej. Jego zdaniem zasada reprezentacji proporcjonalnej powoduje, że „kandydat zabiega o wybór wyłącznie jako przedstawiciel partii, niezależnie od sformułowań konstytucji. Jego wybór jest wyborem głównie, jeśli nie wyłącznie, pewnej partii, do której kandydat należy. Jego zatem podstawowa lojalność dotyczy partii i ideologii

partyjnej, nie zaś ludzi (z wyjątkiem może przywódców partyjnych)⁴. W efekcie poseł jest „moralnie związany z partią, gdyż został wybrany do parlamentu jako jej reprezentant”, a gdy jego sumienie nie pozwala mu zaakceptować polityki jego partii powinien nie tylko z niej wystąpić, ale także opuścić parlament. Wadą dyskwalifikującą, wedle Poppera, systemu wyborczej reprezentacji proporcjonalnej jest to, że „odziera posła z odpowiedzialności osobistej. Czyni zeń maszynę do głosowania, a nie myślącego i czującego człowieka”. Jego zdaniem, w polityce nie ma ważniejszej kwestii od tego, aby uprawiały ją „jednostki zdolne do własnego sądu i przygotowane do ponoszenia osobistej odpowiedzialności”⁵, co ordynacja proporcjonalna wręcz uniemożliwia.

Mimo wpisania kilkunastu, a nawet więcej osób na poszczególne listy wyborcze do Sejmu, w praktyce wybory proporcjonalne tracą swój wolnościowy charakter, ponieważ ograniczają się do zaledwie 2-3 wytypowanych osób, które na podstawie suwerennych decyzji politycznych elit „obsadziły” tzw. miejsca mandatowe, czyli zwykle trzy pierwsze pozycje na konkretnej liście kandydatów na posłów. W efekcie tej manipulacji wybory proporcjonalne faktycznie dotyczą nielicznej i przed właściwym głosowaniem już „wybranej” wąskiej grupy kandydatów. Dlatego nader skromny udział stosunkowo niewielkich grup zwolenników konkretnych partii i ugrupowań politycznych w wyborach na „swoich” kandydatów jest całkowicie naturalny.

Niska frekwencja wyborcza i mała aktywność obywateli w wyborach parlamentarnych według proporcjonalnej ordynacji wyborczej jest zatem nieuchronnym skutkiem jej stosowania, gdyż w społecznej skali tak naprawdę „nie ma kto na kogo głosować”. Rytualne narzekania na niską frekwencję wyborczą w ustach autorów i zwolenników proporcjonalnej ordynacji, a więc bezpośrednich sprawców bierności społeczeństwa w czasie wyborczym, brzmią fałszywą nutą.

I *last but not least*, proporcjonalna ordynacja wyborcza jest tak skomplikowana, że nawet wielokrotny udział politycznie zaangażowanych obywateli w wyborach przeprowadzanych według tych zasad nie spowodował u wyborców zrozumienia reguł jej funkcjonowania. Akt głosowania ogranicza się zwykle do rytualnego zachowania przy urnie wyborczej. Cała ta sytuacja wyraźnie lokuje nasze życie polityczne na antypodach wolnych wyborów demokratycznego społeczeństwa i jest znakiem jego politycznego ubezwłasnowolnienia.

Korupcja a ordynacja

Obecnie praktykowana w wyborach parlamentarnych w Polsce proporcjonalna ordynacja wyborcza w okręgach wielomandatowych została wypracowana w ramach ustalonej „pod Okrągłym Stołem” koncepcji politycznej. Osiągnięte porozumienie doprowadziło do ukształtowania państwa quasi-demokratycznego o parafeudalnym charakterze w formie elekcyjnej „monarchii konstytucyjnej”, opartej na funkcjonariuszach służb mundurowych (w tym Kościoła), cywilnych (w tym kadry akademickiej), aparacie partyjnym oraz ludziach wielkiego biznesu i mediów.

W tej koncepcji państwa jakkolwiek pojmowane wolne wybory nie dają się umieścić, ponieważ ich obecność sprzyja żywiołowym tendencjom kształtowania się życia politycznego, które w języku reżimowej propagandy określane są dosadnie jako „anarchia”. Formuła „każdy wybiera każdego” ma dobrą opozycyjną tradycję, chociażby z czasów Peerelu, jeśli przypomnieć, że już w 1979 roku Komitet Porozumienia na Rzecz Samostanowienia Narodu zbierał podpisy pod apelem o

4 Cyt za: K. Popper, *O demokracji*, w: Lazarowicz R., Przystawa J. (red.), *Otwarta księga. O jednomandatowe okręgi wyborcze*, Wrocław 1999, s. 18.

5 Ibidem.

przeprowadzenie wolnych wyborów. Ów apel, jak należy rozumieć, z nader ważkich powodów, do dzisiaj nie został zrealizowany.

Zasadniczą przeszkodą uniemożliwiającą sprawne wprowadzenie w naszym kraju wolnych wyborów jest kwestia, używając modnego narzecza środowisk biznesowych, „ograniczonego zasobów”, czyli materialnych korzyści związanych ze sprawowaniem władzy państwowej. Ujmując sprawę najprościej jak to możliwe, należy przyjąć, że jeśli poseł Kowalski zapewni sobie na korzystnych warunkach dostęp do atrakcyjnego wynagrodzenia, dochodowych „interesów”, luksusowych mieszkań, samochodów, gruntów, kamienic czy jakichkolwiek innych dóbr materialnych, a także rozmaitych intratnych posad, to nie uczyni tego ewentualny poseł Nowak. Ukształtowała się także wieloletnia praktyka powoływania do życia licznych funduszy „partyjnych”, finansowanych z dobrowolnych wpłat od dochodów „aktywu” jako swego rodzaju odpisów, które stanowią znaczący procent różnych wynagrodzeń – rozmaitych diet, płac czy premii i nagrody „swoich” zatrudnionych w całym szeregu instytucji, agencji i spółek.

Warto do tego dodać pożytki płynące ze wspierania zaprzyjaźnionych przedsiębiorców przy rozlicznych sprawach „biznesowych” w urzędach, którzy wiedzą, jak się za to odwdziaczyć Panu Posłowi i jego Partii. W ten sposób powstaje interesująca sieć wzajemnych powiązań i zobowiązań parlamentarzystów z szeroko pojętym światem biznesu z jednej strony oraz administracji państwowej i samorządowej różnych szczebli z drugiej. Naturalną konsekwencją tego stanu jest ciągły przyrost dochodów i majątków szeregu posłów czy senatorów, co uwidacznia obszerna lista milionerów w gronie zasiadających na Wiejskiej wybrańców Narodu. Być może nawet istnieje pewien subtelny, aczkolwiek z trudem uchwytny dla niewprawnego obserwatora, związek między przyrostem średniej bogactwa na głowę parlamentarzysty, a rosnącą pauperyzacją naszego społeczeństwa, czyli przyrostem biedy na głowę mieszkańca naszej ojczyzny.

Polityka jako biznes

Nad splotem skomplikowanych interesów i osobistych karier panuje znana nam dobrze „kierownicza rola”, w przeszłości „partii”, a współcześnie akcji, bloku, frontu, koalicji, konfederacji, kongresu, obozu, porozumienia, ruchu, sojuszu, stronnictwa, unii, wspólnoty, zjednoczenia, a nawet platformy, co w praktyce wychodzi na to samo. Nie dziwi, że po trudnym okresie „Rzeczypospolitej Drugiej i Pół” unika się terminu „partia” w nazwie ugrupowania politycznego, która jako swego rodzaju imię własne, pełni zarazem funkcję logo firmy.

W tej sytuacji spór, a nawet swego rodzaju konkurencja między Kowalskim a Nowakiem w zabiegach o zdobycie fotela parlamentarzysty, zwłaszcza wówczas, gdy należą oni do różnych ugrupowań politycznych jest nieuchronna. I w tej nader skromnej postaci można mówić o częściowo „wolnych” wyborach w bardzo ograniczonym zakresie, do czego świetnie nadaje się ordynacja proporcjonalna i w tym celu została powołana do życia. Jeśli Kowalski jest „nasz”, a Nowak „wasz”, to liderzy partyjni znajdą sposób, aby uzgodnić swoje często rozbieżne interesy, ale zawsze postarają się wspólnymi siłami nie dopuścić do władzy „niczyjego” trzeciego pretendenta.

Podobno Leonid Breżniew, udzielając kiedyś wywiadu zachodniemu dziennikarzowi stwierdził *off the record*, że mimo jego wysokiej oceny demokracji w zachodnim stylu, nie zostanie ona wprowadzona w ZSRR gdyż posiada zasadniczą wadę – nigdy nie wiadomo, kto zostanie wybrany do władz. Wypowiedź ta, jeśli jest prawdziwa, urzeka swą trafnością i prostotą, bowiem znakomicie streszcza problem demokratycznych wyborów, ponieważ zawsze trzeba wiedzieć, kto będzie rządził

państwem. Demokracja z natury rzeczy wprowadza element niepewności, który jednak dzięki stosownej ordynacji wyborczej, w tym przypadku proporcjonalnej, można skutecznie zminimalizować.

„Demokracja proporcjonalna” zakłada istnienie wielu partii politycznych, co fachowo określa się mianem pluralizmu. Kierowniczą rolę w strukturach władzy państwowej i samorządowej spełniają partie i na nich należy skoncentrować uwagę jako na głównych podmiotach życia politycznego. Ta oczywista konkluzja rodzi jednak proste pytanie dotyczące statusu funkcjonowania partii politycznych w naszym kraju, jeśli zważyć, że ich aktywność koncentruje się na wszelkiego rodzaju akcjach wyborczych. W tym czasie przyszli parlamentarzyści zabiegają o eksponowane miejsca na partyjnych listach wyborczych, a w przypadku zwycięstwa wstępują do określonych klubów parlamentarnych, czyli frakcji partyjnych. Zresztą już sama nazwa „klub” ma posmak pewnej elitarności i przyjemnie kojarzy się z działalnością zamkniętego kręgu pewnej starannie dobranej grupy osób, czym u nas zajmują się właśnie partie polityczne.

Ten sposób funkcjonowania partii oznacza jednak, że są one w pierwszej kolejności działającymi w permanencji „komitetami wyborczymi” służącymi do zdobywania władzy i stanowisk w wyborach do różnych „ciał” i instytucji państwowych, zwłaszcza do parlamentu. Skoro podstawowym zadaniem komitetu wyborczego jest uzyskanie jak największego funduszu wyborczego i zwycięstwo wyborcze, to troska o kształt ideowy i programowy ugrupowania politycznego, czyli partii, przesuwa się na dalszy plan, a z czasem wręcz zanika. W efekcie pod szyldem partii rozkwita „komitet wyborczy”, czyli swego rodzaju ogólnokrajowa machina wyborcza, w której kierownictwo partyjne faktycznie pełni funkcje właścicielskie i zarządcze wobec traktowanego jako swego rodzaju przedsiębiorstwo pojmowanego jak najszerzej funduszu wyborczego i partyjnego.

W tym sensie kosztem życia politycznego ukształtował się swoisty biznes polityczny, który wprowadził do partii swoście pojmowaną, dostosowaną do sfery polityki przedsiębiorczość z nieuchronną korupcją włącznie. Polityka, której treścią były zawsze partyjne spory ideowe i programowe, polegające na konfrontacji rozmaitych interesów, metod analizy problemów społecznych i ich rozwiązywania stała się stopniowo narzędziem swoistego biznesu. Jej celem jest ekonomiczny sukces partii w powiększaniu określonych „zasobów” ludzkich i materialnych, przez posiadanie „udziałów” w rządzie, szerzej – w państwie. Ta mało odkrywcza strategia, jak napisze publicysta, sprowadza się do tego, aby wszędzie, gdzie tylko jest to możliwe mieć „swoich ludzi” i to na liczących się, co nie zawsze znaczy eksponowanych stanowiskach.

Wolno zatem sądzić, że chociaż w naszych warunkach największe ugrupowania polityczne nie sprawdzają się jako partie polityczne, to radzą sobie zupełnie dobrze jako komitety wyborcze oraz biura karier zawodowych i swoiste podmioty gospodarcze w sensie osobliwego typu spółdzielni czy spółek z o.o., jednak z zasady nieodpowiedzialnością nieograniczoną. Poprzez uczestnictwo w strukturach władzy „partie” uzyskały szerokie pole do prowadzenia, na pierwszy rzut oka niewidocznej, szczególnego rodzaju działalności gospodarczej o profilu doradczo-usługowym, bez posiadania własnego majątku, ale z potężnym kapitałem politycznym, którym jest wpływ na podejmowanie kluczowych decyzji w państwie czy samorządzie. Z tego punktu widzenia grupa osób prowadząca działalność polityczną faktycznie zachowuje się jak podmiot parający się, nastawioną na uzyskiwanie własnych dochodów działalnością gospodarczą, a nazwa ugrupowania politycznego jako „logo firmy” pełni funkcje swego rodzaju „regonu”.

Dochody ugrupowania politycznego dają się opisać przy pomocy standardowych określeń obejmujących majątek wspólny, będący zarówno w użytkowaniu jak i posiadaniu przywódczych elit, gdy jego pochodzenie związane jest z okresem sprawowania władzy. Także pełnienie rozmaitych

funkcji administracyjnych i politycznych poszczególnych członków grup politycznych oraz ich najbliższych owocuje zwykle stosownymi dochodami o nadzwyczajnym charakterze, podlegającymi swoistemu opodatkowaniu wewnętrznemu. Szczególnie korzystne jest organizowanie intratnych interesów oraz nowych firm i przedsięwzięć gospodarczych z udziałem starannie dobranych osób na ustalonym polu gospodarczym, na przykład w celu wygrywania „ustawionych” przetargów czy operacji prywatyzacyjnych. Traktowanie przez nasze elity polityki na sposób biznesowy oznacza zatem, że poszczególni politycy i działacze, rozliczne ugrupowania i instytucje polityczne zachowują się jak podmioty nastawione w pierwszej kolejności na prowadzenie działalności gospodarczej.

System quasi-partyjny

Po latach miłościwie nam panującej „demokracji proporcjonalnej” okazało się, że w nikłym stopniu sprzyja ona kształtowaniu partyjnej infrastruktury życia społecznego w dziedzinie edukacji, kultury czy sportu. „Proporcjonalna” ordynacja wyborcza na naszym rodzimym gruncie wymusza tak daleko idącą redukcję partii do „komitetów wyborczych”, że w praktyce w Polsce partii politycznych w ścisłym tego słowa znaczeniu po prostu nie ma. Wystarczy jako punkt odniesienia dla naszej powojennej rzeczywistości przyjąć PPS czy PSL Mikołajczyka, by sobie uświadomić, że tego typu partii o szerokim profilu działalności społecznej obecnie nie tylko nie ma, ale i w najbliższej przyszłości nie będzie.

Słabości życia partyjnego dobrze ilustruje między innymi sytuacja SLD, który w okresie swoich rządów zdecydował się na przeprowadzenie czysto formalnej „weryfikacji” swoich członków, ograniczonej do ponownego wypełnienia ankiety personalnej potwierdzającej przynależność do organizacji. W efekcie partia z około stu pięćdziesięciu tysięcy członków straciła około jedną trzecią. Zaś PiS liczące wkrótce po zawiązaniu w 2001 roku grubo poniżej stu członków, czyli tyle co średniej klasy krajowy komitet wyborczy, przystąpiło niejako „z marszu” do swoich pierwszych wyborów parlamentarnych, a po zdobyciu niemal pół setki mandatów poselskich, stało się jednym z wiodących opozycyjnych klubów parlamentarnych.

Chociaż tych przykładów nie należy sprowadzać do wspólnego mianownika, to jednak zdają się one dowodzić, że w naszym kraju na poziomie politycznym organizują się grupy interesów i komitety wyborcze, a nie partie w ścisłym sensie tego słowa. W tej perspektywie nieco zaskakuje brak rzetelnych analiz dotyczących partii, ilości ich członków, struktury społecznej i organizacyjnej, charakteru władz, lokalizacji itp., co zdaje się świadczyć o sporej bezradności uczonych i zarazem skupieniu się badaczy na bardziej dochodowej wąsko rozumianej problematyce wyborczej.

Przyjęcie poglądu, że nasze ugrupowania polityczne nie posiadają faktycznego statusu partii politycznych nie powinno prowadzić do pomniejszenia ich znaczenia. Wręcz przeciwnie, poprzez nader aktywne uczestnictwo w rozmaitych strukturach władzy państwowej i samorządowej na różnych ich poziomach, owe grupy polityczne, a zwłaszcza ich elity kierownicze odgrywają pierwszorzędną rolę w podejmowaniu pod politycznym szyldem kluczowych decyzji kadrowych, merytorycznych i finansowych, chociaż w istocie prowadzą swoistą działalność gospodarczą.

Pochylając się nad konkretnymi działaniami naszych quasi-partii zwraca uwagę fakt, że w wielu kluczowych kwestiach zajmują tak dalece jednolite stanowisko, że jest ono równoznaczne z odrzuceniem pluralizmu politycznego. Wiadomo już, że w zasadniczej sprawie ustrojowej, dotyczącej ordynacji wyborczej, wszystkie ugrupowania polityczne mimo różnych deklaracji w praktyce popierają „proporcjonalną” ordynację wyborczą. Analogiczną zgodę powszechną naszych elit politycznych

należy odnotować w sprawie udziału w wojnie w Iraku i Afganistanie. Ciekawe, że w tych kluczowych kwestiach polityka rządów i parlamentu jest całkowicie sprzeczna z odczuciami opinii publicznej. Dominująca większość społeczeństwa polskiego domaga się zarówno wprowadzenia ordynacji większościowej w wyborach do Sejmu, jak i wycofania polskich wojsk z Afganistanu. Na dodatek, żadna z parlamentarnych sił politycznych nie zażądała przeprowadzenia stosownego dochodzenia w kompromitującej sprawie lądowania w Polsce domniemyanych terrorystów Al-Kaidy oraz podejrzeń o ich torturowanie na terenie naszego kraju przez oficerów CIA.

Jednolita polityka nader odmiennych ugrupowań jest nie tylko zaprzeczeniem pluralizmu politycznego, ale także oznacza odrzucenie podziału na władzę i opozycję, skoro „partia” zajmuje to samo stanowisko niezależnie od tego czy rządzi, czy znajduje się w opozycji. Gdy partie prowadzą zasadniczo tę samą politykę, to jeśli odrzucić powierzchowne różnice należy uznać, że należą one faktycznie do tego samego klanu władzy.

Swego czasu przemysłowiec John Ford zauważył, że każdy Amerykanin może kupić dowolny samochód, jaki tylko mu się spodoba, wszakże pod warunkiem, że będzie to czarny Ford. I tak miały się rzeczy do czasu, aż zaczęła się nowa epoka wolności konsumenckiej, którą świetnie ilustruje w zupełnie innej branży swoboda wyboru między coca-colą a pepsi-colą. Ten postęp nie oszałamia, ale jest niewątpliwy, chociaż wyraźnie ograniczony.

„Państwo opiekuńcze dla bogatych”

Polityka dochodowa i system podatkowy oraz związane z nimi rozwarstwienie społeczne są prowadzone w naszym kraju tym samym zgodnym rytmem ciągłości kolejno rządzących ekip politycznych z bardzo odmiennych na pozór ugrupowań, zawsze z poparciem zmieniającej się opozycji.

Zgodnie z datowanym na 20 listopada 2008 raportem Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) w Polsce mamy największe rozwarstwienie płacowe w całej Unii Europejskiej. Wynika to z porównania przeciętnych zarobków netto 10 proc. najlepiej i 10 proc. najgorzej zarabiających pracowników, które wykazało, że w Polsce płaca najlepiej wynagradzanych była czternastokrotnie wyższa od najniższej płacy. Najwyższa płaca w Wielkiej Brytanii była dziesięciokrotnie wyższa od najniższej, w Niemczech zróżnicowanie dochodów wynosiło siedem i pół do jednego. Na Węgrzech najwyższa płaca była siedmiokrotnie wyższa od najniższej, na Słowacji sześć razy, w Czechach pięć i pół raza, a najbogatsze grupy w Danii i Szwecji przewyższały swoimi zarobkami najuboższą niespełna pięciokrotnie. Ponadto w Polsce wynagrodzenia prezesów firm rosą ponad dwa razy szybciej niż średnie płace ogółu zatrudnionych.

Podobne efekty przyniosła ostatnia obniżka podatków, która pracownikowi zarabiającemu tysiąc pięćset zł miesięcznie zwiększyła zasobność portfela o dwieście zł rocznie, gdy pracownikowi zarabiającemu dziesięć tysięcy zł miesięcznie roczne dochody wzrosły o osiem tysięcy dwieście zł rocznie, czyli czterdzieści jeden razy. Ta obniżka podatków w widoczny sposób pogłębiła społeczne zróżnicowanie podobnie jak obniżka składki rentowej, która pozostawiła w kieszeniach podatników kolejne miliardy.

Bez względu na to, która partia sprawuje władzę, w polityce naszego państwa widoczna jest trwała tendencja do wzrostu dochodów lepiej sytuowanych klas i warstw społecznych w znacznie większej skali, niż w bogatszych od nas krajach europejskich. Jest ona ekonomicznie bezzasadna, stanowi rezultat świadomej polityki interwencjonizmu państwowego polegającego na realizacji w

praktyce niejawnej doktryny „państwa opiekuńczego” dla uprzywilejowanych i bogatych warstw społecznych. Podobną funkcję pełni zgodne wstrzymywanie przez kolejne ekipy rządzące włączenia do systemu podatkowego produkcji rolnej oraz działalności gospodarczej Kościołów i związków wyznaniowych.

Należy zaznaczyć, że wzrost nierówności w dochodach społeczeństw jest rezultatem wspólnie realizowanej przez rządy czołowych państw kapitalistycznych ze Stanami Zjednoczonymi na czele globalnej polityki gospodarczej konsekwentnie zmierzającej do przekształcenia świata w konglomerat „opiekuńczych państw” dla bogaczy. Na tym tle, jeśli tylko odwrócić tabelę europejskich nierówności społecznych, wówczas Polska zajmie eksponowane miejsce w ścisłej czołówce, lecz w tej konkurencji nagrodą nie będą order i medale, lecz raczej gwizdy publiczności.

Jedna Władza

Sedno sprawy jednak tkwi nie w tym, czy nasze państwo jest, wyrażając się metaforycznie, dla biednych czy dla bogatych, lecz w bezwzględnie prowadzonej polityce niekorzystnej dla gorzej sytuowanych grup społecznych przez każdą sprawującą władzę „opcję polityczną” i opozycję. Tym samym zasada pluralizmu politycznego, fundament demokracji i wolności, w naszym państwie podlega silnemu ograniczeniu. Brak autentycznych partii politycznych z liczną rzeszą działaczy, członków, aktywistów, zwolenników, doradców i kadrowego aparatu, którzy wedle określonych wartości i zasad ideowych oraz założeń programowych nadają ton życiu politycznemu i społecznemu, uniemożliwia pluralizm.

W efekcie w miejsce „żywych” partii politycznych pojawiają się mające swoją wagę „atrapy” zachowujące wszelkie pozory realnie działających partyjnych bytów społecznych. Z braku autentycznych podmiotów politycznych słabe kadrowo, organizacyjnie i merytorycznie „partie” stopniowo budowały swoją polityczną siłę dzięki swoistemu zespoleniu w jeden ogólnopartyjny organizm, którego poszczególne ugrupowania – PO, PiS, SLD, PSL i pomniejsze – stały się częściami składowymi. Ta osobliwa formacja polityczna musiała powstać jako realny instrument sprawowania władzy także dzięki umiejętnemu wzmocnieniu żywiołowych protestów społecznych.

Jedna „zbiorcza” (nowego typu), z dużej litery Partia jest jak niewolna od synów marnotrawnych i banitów, konfliktów i walk bratobójczych Wielka Rodzina, zawsze jednak zgodna i zjednoczona przy podejmowaniu kluczowych decyzji, od których zależy jej byt i funkcjonowanie. Centralne i lokalne „partyjne” porozumienia, sojusze i koalicje, wielokrotne zmiany barw partyjnych pokazują absolutną dowolność w tworzeniu wszelkich możliwych układów „każdego z każdym” w jedynie szlachetnym celu utrzymania władzy we wszelkich postaciach. Wszak świat polityki, to jedna Wielka Rodzina. Centrum tej rozbudowanej struktury politycznej stanowi oczywiście państwo z jego rządem i licznymi, często zaskakującymi rozgałęzieniami. Półtora wieku wcześniej Alexis de Tocqueville wyraził cenną myśl, że „nie ma takiego okrucieństwa ani takiej niegodziwości, której nie popełniłby skądinąd łagodny i liberalny rząd, kiedy zabraknie mu pieniędzy”. Jak trafnie wskazał klasyk demokracji, władza zawsze zapewni godziwy dochód i zabezpieczenie bytu swoim utrzymanikom.

Zadaniem powstałej żywiołowo na bazie Państwa i Partii wielobarwnej „partii władzy” stało się ogarnięcie całokształtu życia społecznego oraz zapełnienie pustych miejsc na politycznej mapie kraju. I tak brak autentycznej partii chrześcijańskiej demokracji, na powołanie której przez Tadeusza

Mazowieckiego bardzo liczył Jan Paweł II, wymusił przejęcie jej funkcji przez Kościół, który zajął jako „zamiennik” partii chadeckiej znaczące miejsce, obok Państwa i Partii, w kluczowej trójcy „partii władzy”. Zastępcze „upartyjnienie” Kościoła (z braku chadecji), z nieodłącznym ideowym antyklerykalizmem, uruchomiło dynamiczny proces stopniowego nadawania Partii i Państwu charakteru wyznaniowego przez wzajemne przenikanie i zlewanie w całościową strukturę społeczno-polityczną.

Podobnie – brak w partiach własnych, silnych aparatów ideologicznych i propagandowych podniósł do rangi „partii politycznej” czołowe media publiczne i prywatne. Ich merytoryczne zróżnicowanie i wielość właścicieli nie przeszkodziła w prowadzeniu wspólnej polityki programowej i uzyskaniu silnej pozycji ośrodka władzy, pełniącego zastępczo z wielkim zaangażowaniem funkcję rządzącej partii politycznej. Powstał osobliwy mechanizm polityczny, w którym media wiernie służąc „partii władzy” w jej ramach dzielnie wypełniają własną polityczną misję z wielką dbałością o swoje dochody.

„Partia władzy” układa się zatem w sprawnie zorganizowany system polityczny, zbudowany na fundamentach Państwa i Partii z wiodącą rolą Kościoła i mediów. Wśród jej udziałowców nie brakuje politycznych reprezentacji biznesu, jego kadr zarządzających i aparatów związkowych, które tocząc między sobą widoczne spory i kontrowersje kiepsko skrywają przed opinią publiczną rzeczywiste ścisłe współdziałanie dla zabezpieczenia wzajemnych interesów. Podstawowym zadaniem „partii władzy” jest zapewnienie jej „udziałowcom” ekonomicznych korzyści i usuwanie nieuchronnie pojawiających się zagrożeń podstaw ich „dobrobytu”.

Polityczny „holding”

Celem i sensem uprawiania polityki jako biznesu jest zatem uzyskiwanie dodatkowych korzyści – dóbr materialnych i pieniędzy – związanych z udziałem w sprawowaniu władzy, które wielokrotnie przekraczają należne dochody. Staje się to możliwe dzięki współdziałaniu osób, grup czy instytucji, nie wyłączając mafii, prowadzących masowe praktyki korupcyjne związane z nadużywaniem władzy. Tak powstaje szczególnego rodzaju polityczna Organizacja o gospodarczym charakterze, którą wygodnie jest nazywać „holdingiem”, żeby wskazać na fundamentalne i bezpośrednie odniesienie polityki do jej ekonomicznych podstaw. Z drugiej strony, ten nietypowy „holding” staje się opoką szeroko i specyficznie pojmowanej „partii władzy”, dla której korzyści materialne i uzyskiwane dzięki politycznym zabiegom źródła utrzymania odgrywają pierwszorzędne znaczenie. Udziałowcy „holdingu” i szerzej „partii władzy” jako beneficjenci tego stanu rzeczy mają zatem czego bronić i łatwo swojej skóry nie oddadzą.

Bogata sieć wzajemnych powiązań i zobowiązań polityków z szeroko pojętym światem biznesu oraz administracji państwowej i samorządowej różnych szczebli, w której ugrupowania polityczne, a zwłaszcza ich liderzy tworzą szczególnego typu „holding” sprawujący rzeczywistą władzę w całym kraju. Wskazany „holding” działa jak klasyczny podmiot gospodarczy nastawiony na powiększanie zasobów i dochodów, ale jego części składowe nie są łatwe do opisanie. Jądro „holdingu” stanowią bez wątpienia szeroko pojęte struktury państwa z jego budżetem i majątkiem, obejmujące rząd oraz jego rozliczne agendy centralne i terenowe, parlament, urząd prezydenta, samorzady terytorialne, instytucje władzy państwowej, także liczne ugrupowania polityczne. Wszystkie części składowe jak w prawdziwym holdingu konkurują między sobą o jak największe zdobycze majątkowe, a działające w nim osoby o uzyskanie osobistych korzyści w maksymalnej skali.

W dalszej perspektywie zwycięża jednak zawsze troska o wspólny interes, czego dobrą ilustracją jest zgodne przeprowadzenie przez zintegrowane elity polityczne powiatowej reformy samorządowej zapewniającej obfitość całkowicie zbędnych, ale intratnych posad oraz rozległe możliwości korzystania z apanaży władzy. Siłę „holdingu” najlepiej rozpoznaje się po sposobie jego funkcjonowania, gdy bez względu na krytyczny stan gospodarki, nikłe zasoby kasy państwowej oraz mizери społeczeństwa z całą konsekwencją bezustannie rozwija się kadrowo, dochodowo, materialnie.

„Partia władzy – partia protestu”

Brak w naszym kraju partii w ścisłym sensie ułatwił ugrupowaniom politycznym i strukturom władzy zorganizowanie wokół siebie „holdingu”, który stał się trzonem szeroko pojętej „partii władzy” podejmującej rzeczywiste decyzje odziane w szaty rozmaitego typu państwowych aktów prawnych. W efekcie spory między rządem a opozycją mają nader ograniczone znaczenie i to jedynie w krótkiej perspektywie czasowej, a ich spektakularny charakter obliczony jest na doraźny użytek publiczny. W kluczowych kwestiach szeroko pojęty „holding” czyli „partia władzy”, by wyrazić się językiem publicystycznym „ma się dobrze”, a kierując się własnym, wspólnym interesem zabiega przede wszystkim o zapewnienie sobie stabilnych warunków funkcjonowania i długiej perspektywy rozwojowej.

„Partia władzy” musiała zrodzić naturalną przeciwwagę w postaci „partii protestu”, w której przy stałej aktywności Ruchu Obywatelskiego na rzecz Jednomandatowych Okręgów Wyborczych, ostatnio wysunęły się na czoło Polska Partia Pracy Bogusława Ziętka oraz Nowa Prawica Janusza Korwina-Mikke. Na obrzeżach „partii protestu” działają ważne formacje ideowe, jak krakowska „Kuźnica” z półrocznikiem „Zdanie”, warszawska „Krytyka Polityczna” czy środowisko „Le Monde diplomatique”. W sumie w „partii protestu” wyraża się społeczeństwo obywatelskie, w którym żywiołowo powstały, zróżnicowane pod względem radykalizmu rozmaite inicjatywy autentycznego ruchu sprzeciwu społecznego wobec rządzących Polską elit władzy, mechanizmów ich kształtowania i masowych praktyk korupcyjnych.

Warto zauważyć, że Ruch Obywatelski na rzecz Jednomandatowych Okręgów Wyborczych domagając się wprowadzenia większościowej ordynacji w wyborach do Sejmu w największym stopniu zagraża funkcjonowaniu „holdingu”. Radykalizm postulatu wolnych wyborów w praktyce prowadzi do uruchomienia mechanizmu szerokiej wymiany elit politycznych i powstania rzeczywistych partii, które mogą spowodować upadek „partii władzy”.

Do „partii protestu”, zgodnie z jej rozproszonym i żywiołowym charakterem, można włączyć także rozliczne komitety protestacyjne, które zainicjował w 2002 roku Komitet Protestacyjny Stoczni Szczecińskiej Porta Holding S.A. Należy tu odnotować także liczne antyreżimowe inicjatywy medialne czy ugrupowania polityczne o antysystemowym charakterze, w tym także ruchy antyklerykalne zmierzające wyraźnie do zakwestionowania „partii władzy”. Ich wspólnym mianownikiem jest występowanie jako opozycji odrzucającej niedemokratyczne metody sprawowania władzy i porzucenie przez nią żyjących w biedzie obywateli.

W kontekście obecnego kryzysu prywatnych finansów, który przekształcił się w kryzys finansów publicznych, należy oczekiwać kolejnego ataku elit władzy i pieniądza na płace, emerytury i usługi publiczne. Taka polityka będzie wzmacniać nastroje sprzyjające nasileniu protestów społecznych, których uczestnicy w coraz większym stopniu będą sobie uświadamiać, że muszą porzucić rolę petentów władzy i uwolnić się z politycznego ubezwłasnowolnienia, doprowadzając do

wolnych wyborów na podstawie większościowej ordynacji. Drogę wyjścia z aktualnego kryzysu demokracji należy zatem upatrywać w uporczywym przekonywaniu do słuszności poglądu głoszącego, że społeczeństwo demokratyczne nie tylko samo potrafi się rządzić, ale także umie naprawiać własne państwo.